

# Ludowo mi...

---

Agata Araszkievicz

Część ostatnich wakacji spędzałam na południu Polski, w moim rodzinnym Tarnobrzegu. Ostoja komunistycznego przemysłu dawno już przestała być głównym ośrodkiem wydobywania siarki. W głębokim dole po kopalni, po wieloletniej ekologicznej rekwersji powstało piękne jezioro. Spędza się tu czas nieoczekiwanie miło wśród tłumu plażowiczów, a tego lata trafiłam dodatkowo na Jarmark Dominikański, organizowany od lat 80. Pamiętam jego początki – wyroby na straganach próbowały odpowiedzieć na ogólny niedostatek wszystkiego. Dzisiaj jarmark się już sprofilował i na kolorowych, bogato wypełnionych stoiskach proponuje głównie lokalne dzieła ludowe.

Pamiętam dobrze Cepelię – systemowo promowaną sieć sklepów w PRL, która prezentowała odgórnie „dobrze widziane” wyroby folklorystyczne. Pamiętam ciężkie strugane meble, kolorowe makatki czy skrzynie, które zdobiły niejedno mieszkanie i w czasach mojego dzieciństwa, hipisowskiego kultu etniczności, stanowiły o oryginalnym guście ich właścicieli. Pamiętam też jednak Cepelię jako synonim złego smaku, kiczu spod znaku prężnie rozwijających się gałęzi rzemiosła pogardliwie nazywanych metaloplastyką czy korzenioplastyką. „Cepelia” z czasem stała się określeniem „pustej” ludowości, rodzaju fasady żerującej na tym, co autentyczne, i wypaczającej jego sens.

Wyroby, które można oglądać dzisiaj na małym Jarmarku Dominikańskim w Tarnobrzegu, w większości są wykonane przez lokalnych twórców, mają wysmakowany design i piękne kolory. Znajdziemy tu zachwycające pomysłowością drewniane zabawki dla dzieci, wyroby z wikliny, małe wozy drabiniaste, kilimy i makatki oraz wszechobecne lampiony ze słomy i bibulek. Można w tym odnaleźć ponownie zadane pytanie o autentyczność i tożsamość – podobnie jak cała Polska, i mój region w transformacji znów szuka własnej definicji. Zwrot w stronę lokalności, powrót do lokalnych tradycji rzemiosła i ludowego gustu to ciekawy, wartościowy gest. Moje refleksje przerwał jednak występ lokalnego ludowego zespołu.

Na małej scenie – po grupie rockowej i orkiestrze górniczej (jedynej pozostałości po wielkiej kopalni siarki!) – nastąpił festiwal okolicznych grup folklorystycznych.

Tarnobrzeg to małe miasto otoczone wieloma wioskami – spora ich część na skutek publicznych dotacji ma od niedawna własne ludowe zespoły. Są to przeważnie składy kobiece, a ich twórczynie ubrane są w ładząco podobne uniformy, składające się z białych bluzek, koralu i kwiecistych spódnic. Różnią się tylko nazwami, gdyż repertuar również wykonują zbliżony. Znane ogólnie krakowskie przyśpiewki nabierają tu lokalnego kolorytu przez lekko zmodyfikowane słowa. Krok taneczny podobny i układ na scenie też jakby ten sam. Czy te zespoły, „wydrążone” niejako z sensu, zanim powstały, to nie jest jednak nowa wersja zunifikowanej Cepelii?

Tarnobrzeg to małe miasto, ale z bogatą przeszłością, leżące w regionie nabrzmiałym historią. Tu zawiązały się zarówno konfederacja dzikowska w XVIII wieku dla obrony króla Stanisława Leszczyńskiego, jak i lewicowa Republika Tarnobrzaska, załączek polskiej państwowości w 1918 roku. Skończyła się ona, niestety, tragicznie, czyli pogromem. Tarnobrzeg tuż przed wojną był typową małą żydowską osadą galicyjską, pełniącą usługowe funkcje przy słynnym dworze Dzikowie, należącym do rodziny Tarnowskich (tu przechowywany był rękopis Pana Tadeusza). Historia Żydów tarnobrzeskich, zamazana i nieobecna, jest właściwie jeszcze do ocalenia.

Warto się zastanowić nad tym, czym ma być na nowo i „odgórnie” wskrzeszany folklor na tarnobrzeskich wsiach. Z jednej strony konstatujemy fakt, że uległ on całkowitemu zanikowi, czy jednak, z drugiej strony, wskrzeszanie przyśpiewek i kolorowych spódnic ma jakikolwiek sens? Przydałyby się dotacje na pogłębione badania nad zapomnianymi tradycjami regionu (tutejsza gwara lasowska przechowuje jeszcze, właściwą językowi polskiemu na prawach wyjątku, liczbę podwójną – dotyczącą czynności wykonywanych przez dwie tylko osoby – która była normą w języku polskim XVI wieku), nad wypartymi aspektami jego historii. Wspomaganie zaś wtórnie rekonstruowanej pseudoludowości to raczej żerowanie na obywatelskiej energii, które zamiast budować wieloraką, bogatą lokalną podmiotowość – bezmyślnie podgrzewa nastroje nacjonalistyczne.

Ale ludowość to nowy teren walki. Ta „nowa ludowość” ma być właśnie łatwa, bezmyślna i bez kantów. Świadczy o tym choćby niedawny skandal z zespołem Same

Suki, który po występie w Częstochowie zaatakował lokalny ultrapravicowy polityk. Już sama nazwa pobudza krew w żyłach – suka biłgorajska to ludowy instrument, ale nazwa zespołu to też rodzaj słownej gry z obraźliwym, kolokwialnym, plebejskim określeniem kobiety. Kobięcy zespół, grający muzykę inspirowaną folklorem, obrał sobie za cel właśnie walkę z polskim seksizmem poprzez swoje piosenki. „Ja niewierna suka swego stada szukam. Bóg mi to wybaczy, kościół nic nie znaczy...”. Ich styl, określany prowokacyjnie „pornofolkem”, obliczony jest na grę z tradycyjnym ludowym „przaśnym” przekazem i na redefiniowanie czy też wydobywanie erotyczności (albo w ogóle „cielesności”) ludowych piosenek, które cechuje pod tym względem duża śmiałość.

A jednak „folklor” jako bogata przestrzeń intelektualnej refleksji czy „ludowość” jako praca z konwencją mającą swoją historię, dynamikę, której charakter może być punktem wyjścia do interesujących działań związanych ze współczesnością – w obu przypadkach wydają się odległe od rozumienia „etniczności”, które zaczyna w Polsce dominować. Duch „złej” Cepelii – fasadowość i bezmyślny kicz, byle wesoło i bezboleśnie – triumfuje. |